

LUCY MAUD MONTGOMERY

ANNE
Z SZUMIĄCYCH
WIERZB

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

Anne of Windy Poplars

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Oddając Czytelniczkom i Czytelnikom nowy przekład | 5
jednej z najbardziej kultowych powieści, jestem świadoma „zdrady”, jaką popełniam wobec pokolenia ich matek i babć, do których zresztą zaliczam też siebie. Tak jest – razem z wydawcą tego przekładu doszliśmy do wniosku, że w czasach, kiedy wszystkie dzieci wiedzą, że żadna mała Kanadyjka nie ma na imię Ania, Janka czy Zosia, a żaden Kanadyjczyk nie nazywa się Mateusz czy Karolek, pora przywrócić wszystkim, a nie tylko wybranym (jak w poprzednich przekładach), bohaterkom i bohaterom książki ich prawdziwe imiona, a nazwom geograficznym na Wyspie Księcia Edwarda ich oryginalne brzmienie. Podejmując się kolejnego przekładu (a w ostatnich latach nastąpił prawdziwy ich wysyp), postawiłam sobie za cel jak najściślejszą wierność wobec oryginału i realiów życia w wiosce Avonlea, która chociaż fikcyjna, miała swój pierwowzór w prawdziwej miejscowości Cavendish. Odwiedziłam w tym celu liczne fora internetowe, blogi i grupy na Facebooku poświęcone życiu i twórczości Lucy Maud Montgomery. Należą do nich osoby, które doskonale znają wszystkie jej książki, także w oryginale, i od lat analizują

nowe przekłady, bezlitośnie demaskując nawet najmniejsze błędy i nieścisłości. Każda z nich ma swoje zdanie na przykład w kwestii tłumaczenia nazwy „Green Gables”, od ponad stu lat znanej w Polsce jako „Zielone Wzgórze”. W sieci dostępne są zdjęcia z PEI (Prince Edward Island), można więc sobie obejrzyć, jak wyglądają słynne „czerwone drogi” czy odtworzona na podstawie opisu w książce i korespondencji autorki farma rodzeństwa Cuthbertów. Dzięki uprzejmości Bernadety Milewski (autorki bloga „Kierunek Avonlea”), która nie tylko jest kopalnią wiedzy o LMM, zna na wyrywki wszystkie jej książki i tropi w nich z dociekliwością detektywa wątki autobiograficzne, ale też co roku spędza na PEI kilka miesięcy i współpracuje z L.M. Montgomery Literary Society, mogłam dowiedzieć się, jak istotne dla autorki było słowo *gable*. Nazwa ta już od pierwszego przekładu sprawiała tłumaczom kłopoty. *Gable* po angielsku to termin architektoniczny, oznaczający trójkątną ścianę łączącą dwie części dwuspadowego dachu. Po polsku jest to „szczyt”. Niestety słowo „szczyt” Polakom kojarzy się głównie z górami, dlatego już pierwsza tłumaczka zmieniła oryginalne Green Gables na Zielone Wzgórze, które tak wryło się w pamięć kolejnych pokoleń, że aż do tej pory nikt nie odważył się zbadać, czy tam w ogóle było jakieś wzgórze. Otóż nie było. Ale to nie dlatego zdecydowałam się zrobić wyłom w tradycji i nazwać ten dom Zielone Szczyty. Zrobiłam to po tym, jak przyjrzałam się na zdjęciach tamtejszemu budownictwu, w którym właśnie te szczyty najbardziej rzucają się w oczy. Niektóre domy mają ich po kilka; istnieje książka Nathaniela Hawthorne’a pod tytułem *The House of Seven Gables* [Dom o siedmiu szczy-

tach], którą L.M. Montgomery czytała w roku 1903. Swoją pokój w domu dziadków Macneillów, u których się wychowała, nazywała zawsze *gable room* i tę nazwę (*east gable room*) nadała też pokoikowi Anne. Było to dla niej niemal magiczne miejsce, o którym napisała nawet kilka wierszy. W swoich pamiętnikach wspomina, jak bardzo cierpiała, kiedy zimą musiała sypiać na dole, bo jej *gable room* nie był ogrzewany. W tłumaczeniach nazywano go zwykle „pokoikiem na facjatce” albo „na poddaszu”. Tymczasem był to po prostu pokój na pierwszym piętrze, z oknem we wschodniej (trójkątnej) ścianie szczytowej. Obok niego znajdował się pokój gościnny, a po przeciwnej stronie – pokój Marilli oraz *west gable room* (pokój w zachodnim szczycie). Wyżej był już tylko strych.

Akcja czwartego tomu rozgrywa się w Summerside (nazwa autentyczna), gdzie Anne po ukończeniu studiów w Redmond College otrzymała stanowisko dyrektorki liceum. Tytułowe Szumiące Wierzby to nazwa domu dwóch siostr, u których przez trzy lata Anne wynajmowała pokój. Pierwotny tytuł powieści brzmiał *Anne of Windy Willows* [Anne z Szumiących Wierzb], ale został zmieniony – zresztą za zgodą LMM – na prośbę wydawcy, ponieważ w tym samym czasie ukazała się książka Kennetha Grahame’a o ludzako podobnym tytule *The Wind in the Willows* (*O czym szumią wierzby*). Z tego powodu powieść LMM została opublikowana jako *Anne of Windy Poplars* – w Polsce czytelnicy znają ją pod tytułem *Ania z Szumiących Topoli*. W kolejnych polskich wydaniach (z jednym wyjątkiem) trzymano się już tej zmiany. Obecnie – razem z Wydawnictwem Marginesy – postanowiliśmy nie tylko

przypomnieć czytelnikom tytuł nadany przez autorkę, ale także przedstawić im pełną wersję powieści, razem z fragmentami pominiętymi przez innych wydawców.

8 | Za absolutnie bezcenne informacje serdecznie dziękuję Bernadecie Milewski, autorce bloga „Kierunek Avonlea”, oraz panu Stanisławowi Kucharzykowi, który od lat bada florę PEI, a swoją wiedzę dzieli się na blogu „Zielnik L.M. Montgomery”. To on jest autorem nieoficjalnej (bo oficjalnej brak) polskiej nazwy *mayflowers* (majowniki), ulubionych kwiatów LMM (*Epigaea repens*), o których autorka często wspomina w swoich książkach.

Anna Bańkowska

Dla przyjaciół Anne na całym świecie

Rok pierwszy

LIST LICENCJATKI ANNE SHIRLEY, dyrektorki liceum w Summerside, do Gilberta Blythe'a, studenta medycyny na Redmond College w Kingsport.

| 13

Szumiące Wierzby
Zaulek Duchów
Summerside
Wyspa Księcia Edwarda

poniedziałek 12 września

Najdroższy!

Ależ mam adres, co? Słyszałeś kiedy o czymś tak rozkosznym? Szumiące Wierzby to nazwa mojego nowego domu – uwielbiam ją, podobnie jak nazwę Zaulek Duchów, która jednak w świetle prawa nie istnieje. Oficjalnie jest to Trent Street, ale nikt tej uliczki tak nie nazywa, z wyjątkiem rzadkich okazji, kiedy wymieniają ją w „Kurierze Tygodniowym”. A i wtedy ludzie spoglądają po sobie i pytają: „Gdzie to, u licha, jest?”. No więc mamy Zaulek Duchów, i już, chociaż nie umiem powiedzieć, skąd się wziął. Pytałam o to Rebeccę Dew, ale dowiedziałam się tylko, że tak mówiono zawsze, bo podobno

w zamierzchłych czasach coś w owym miejscu straszło. Ona jednak nie widziała tam niczego, co wyglądałoby bardziej upiornie od niej samej.

Jednakże nie powinnam tak wybiegać naprzód. Przecież Ty jeszcze nie znasz Rebekki Dew. Ale ją poznasz, o tak, z pewnością! Przewiduję, że zajmie lwią część moich przyszłych listów.

14 | Zapada zmierzch, Najdroższy. Nawiasem mówiąc, czyż „zmierzch” to nie śliczne słowo? Lubię je o wiele bardziej niż „zmrok”. Brzmi tak aksamitnie, miękko i... i zmierzchowo. W ciągu dnia należę do świata, w nocy do snu i wieczności. Ale o zmierzchu uwalniam się od tego wszystkiego i należę już tylko do siebie... i do Ciebie. Dlatego zamierzam poświęcić tę porę na korespondencję z Tobą, chociaż ten akurat list nie będzie miłosny. Moje pióro drapie, a ja nie umiem pisać o miłości drapiącym piórem. Zbyt ostrym ani tępym też nie, więc ten rodzaj listów będziesz dostawał tylko wtedy, gdy moje pióro będzie w sam raz. Tymczasem opowiem Ci o moim nowym domu i jego mieszkankach. Ach, Gilbercie, jakież one są urocze!

Przyjechałam tu wczoraj, żeby rozejrzeć się za jakimś pensjonatem. Towarzyszyła mi pani Rachel Lynde, udając, że ma w planie zakupy, ale naprawdę chodziło jej o to, żeby samej dokonać wyboru. Ona wciąż uważa mnie za nieopierzoną gąskę, która wymaga opieki i nadzoru, mimo że mam ukończone studia.

Podróżowałyśmy pociągiem i och, Gilbercie, jaka śmieszna przygoda mi się przydarzyła! Wiesz przecież, że mnie ciągle zdarzają się nieprzewidziane przygody. Chyba wręcz je do siebie przyciągam.

To się stało, kiedy pociąg zbliżał się już do stacji. Wstałam i schyliłam się po walizkę pani Lynde – zamierzała spędzić nie-

dzielę u przyjaciółki w Summerside. Oparłam się ciężko knykciami na czymś, co wzięłam za błyszczący podłokietnik. Natychmiast coś mnie tak lupnęło, że niemal zawylałam... bo wiesz, to nie był żaden podłokietnik, tylko łysa głowa jakiegos pana! Łypnął na mnie groźnie, gdyż najwyraźniej go obudziłam. Oczywiście od razu go przeprosiłam i czym prędzej uciekłam z pociągu, ścigana tym jego wściekłym spojrzeniem. Pani Lynde bardzo się zgorszyła, a knykcie bołą mnie do dzisiaj.

Nie spodziewałam się wielkich trudności ze znalezieniem pokoju. Wiedziałam, że niejaka pani Tomowa Pringle od piętnastu lat wynajmuje pokoje kolejnym dyrektorom szkoły. Okazało się jednak, że z jakichś nieznanых powodów poczuła się nagle zmęczona, ma dość „tego zawracania głowy” i mnie nie przyjmie. W kolejnych kilku miejscach także spotkała mnie grzeczna odmowa, inne zaś uznałam za nieodpowiednie. Błąkałyśmy się po mieście przez całe popołudnie – zgrzane, zmęczone, w smętnym nastroju i z bólem głowy – przynajmniej ja tak się czułam. Już chciałam dać za wygraną, kiedy nagle trafił się ten Zaulek Duchów!

Wpadłyśmy tam, żeby odwiedzić panią Braddock, dawną przyjaciółkę pani Lynde, i to ona podsunęła nam myśl, że może „wdowy” zgodzą się mnie przyjąć.

– Słyszałam, że szukają lokatora, żeby móc nadal płacić Rebecce Dew. Bez dodatkowego dochodu nie byłoby ich stać na służącą. A gdyby Rebecca odeszła, kto doilby tę starą czerwoną krowę?

Pani Braddock przewierciła mnie wzrokiem, jakby pomyślała, że to ja powinnam doić tę krowę, ale nawet gdybym przysięgła, że potrafię, i tak by mi nie uwierzyła.

– O jakich wdowach mówisz? – spytała pani Lynde.

– No jak to, oczywiście o ciotce Kate i ciotce Chatty – odparła pani Braddock, jakby każdy, nawet ignorantka z tytułem, powinien to wiedzieć. – Ciotka Kate była żoną Amasy MacCombera, to kapitańska wdowa, natomiast ciotka Chatty, czyli pani Lincolnowa MacLean, jest tylko zwykłą wdową. Ale wszyscy nazywają je ciotkami. Mieszkają na końcu Zaułka Duchów.

Zaułek Duchów! To przesądziło sprawę. Wiedziałam już, że po prostu muszę zamieszkać u wdów.

16 | – Chodźmy do nich od razu – błagałam panią Lynde. Zdało mi się, że jeśli przegapimy tę chwilę, Zaułek Duchów zniknie z powrotem w krainie baśni.

– Możecie pójść, ale i tak to Rebecca zdecyduje, czy panią przyjmą. W Szumiących Wierzbach to ona rządzi, ja wam to mówię.

Szumiące Wierzby! To nie mogła być prawda, po prostu nie mogła! Mnie się to musiało przyśnić. A pani Rachel stwierdziła, że to śmieszna nazwa dla domu.

– Ach, to kapitan MacComber tak go nazwał. To był jego dom, rozumiecie. Sam obsadził go wierzbami. Bardzo się nimi chlubił, chociaż rzadko bywał w domu i nigdy w nim na długo nie zostawał. Ciotka Kate mawiała, że to niewygodne, chociaż nigdy nie rozgryźliśmy, co miała na myśli: że wraca na tak krótko czy że w ogóle wraca. Rebecca Dew znakomicie gotuje, a z ugotowanych ziemniaków wyczarowuje istne cuda. Jeśli się jej pani spodoba, panno Shirley, będzie pani żyła jak pączek w maśle. A jeśli nie... no to nie. Podobno jest w mieście nowy urzędnik bankowy, który też szuka pokoju, i Rebecca może wybrać jego. Swoją drogą, trochę mnie dziwi, że pani Pringle pani nie przyjęła. W Summerside jest mnóstwo Pringleów i pół-Pringleów. Mówi się na nich „rodzina królewska” i powinna

pani ich sobie zjednać, bo inaczej nigdy nie poradzi sobie pani w szkole. To oni rozdają tu karty. Jest nawet ulica, której patronuje stary kapitan Abraham Pringle. To prawdziwy klan, ale rządzą w nim dwie stare damy z Klonowego Dworu. Słyszałam, że się pani im naraziła.

– Ja? Ależ dlaczego? – wykrzyknęłam. – Przecież jestem tu zupełnie obca!

– Hmm. Ich daleki kuzyn starał się o to samo stanowisko i wszyscy uważali, że właśnie on powinien je otrzymać. Kiedy zaakceptowano pani kandydaturę, cała ich klika aż zawyla ze złości. No cóż, tacy są ludzie, trzeba się z tym pogodzić. Mogą być słodcy jak miód, ale i tak będą panią podgryzać. Nie chcę pani zniechęcać, chociaż kto uprzedzony, ten uzbrojony. Mam nadzieję, że utrze im pani nosa. Jeśli wdowy panią przyjmą, to chyba nie będzie pani przeszkadzało, że Rebecca Dew jada z gospodyniami przy wspólnym stole? Bo widzi pani, ona jest kimś więcej niż służącą. To daleka krewna kapitana. Nie siada do stołu, jeśli są goście, zna swoje miejsce, ale jako stała lokatorka nie będzie pani uważana za gościa.

Uspokoiliłam panią Braddock, że z przyjemnością będę jadać w towarzystwie Rebekki Dew, po czym wyciągnęłam stamtąd panią Lynde. Musiałam za wszelką cenę ubiec tego urzędnika.

Pani Braddock odprowadziła nas do drzwi.

– Tylko proszę mieć wzgląd na uczucia ciotki Chatty, dobrze? Jest bardzo wrażliwa i łatwo bidulkę urazić. Bo trzeba pani wiedzieć, że nie jest tak bogata jak ciotka Kate... Ta zresztą też nie ma wielkiego majątku. Poza tym ciotka Kate naprawdę kochała swojego męża, a ciotka Chatty swojego nie znosiła. I nic dziwnego! Lincoln MacLean był starym zrzędcą, ale ciotka Chatty myśli, że ludzie także do niej mają o to

pretensję. Dobrze, że dziś sobota, bo w piątek z miejsca by panią odrzuciła. Mogłaby pani uznać, że to ciotka Kate jest tą przesądną, co? Bo marynarze są tacy. Ale to właśnie ciotka Chatty, chociaż jej mężem był cieśla. Swego czasu cieszyła się wielką urodą, biedactwo.

Obiecałam pani Braddock, że uczucia ciotki Chatty będą dla mnie święte, ale ona szła z nami dalej.

18 | – Kate i Chatty są bardzo uczciwe, więc nie będą grzebać w pani rzeczach. Może to robić Rebecca Dew, ale nie będzie na panią donosić. Aha, i na pani miejscu nie pukalabym do frontowych drzwi. Używają ich tylko od wielkiego dzwonu, chyba ostatni raz z okazji pogrzebu Amasy. Proszę skorzystać z bocznych. Klucz do nich trzymają pod doniczką z kwiatkiem, która stoi na parapecie, więc jeśli nikogo nie ma w domu, można sobie otworzyć, wejść i zaczekać. I w żadnym wypadku nie zachwycać się kotem, bo Rebecca Dew go nie lubi.

Przyrzekłam, że nie będę się zachwycać kotem, po czym wreszcie udało nam się od niej uwolnić. Niebawem znalazłyśmy się w Zaułku Duchów. To króciutka boczna uliczka, która wychodzi na otwartą przestrzeń z błękitnawymi wzgórzami w tle. Po jednej stronie w ogóle nie ma zabudowań, a teren opada łagodnie aż do portu, po drugiej stoją tylko trzy domy. Pierwszy z nich to po prostu budynek – nic więcej nie da się o nim powiedzieć. Drugi jest wielką, imponującą, lecz ponurą rezydencją z czerwonej cegły z kamiennymi wykończeniami, spadzistym dachem z lukarnami i żelazną balustradą na szczycie. Ledwie go widać spoza gąszczu świerków i jodeł. W środku musi być strasznie ciemno. Trzeci zaś to właśnie Szumiące Wierzby. Są usytuowane w samym rogu, od frontu biegnie trawiasta uliczka, a z tyłu – prawdziwa wiejska droga, pięknie ocieniona drzewami.

Od razu się zakochałam. Wiesz, są domy, które z jakiegoś niejasnego powodu biorą cię w posiadanie od pierwszego wejścia. Takie właśnie są Szumiące Wierzby. Mogę Ci je opisać jako biały – bardzo biały – budynek szkieletowy z zielonymi – bardzo zielonymi – okiennicami, wieżyczką w rogu i dwiema lukarnami. Od ulicy oddziela go niski kamienny murek, przy którym w równych odstępach rosną wierzby. Z tyłu znajduje się duży ogród, gdzie kwiaty żyją w milej symbiozie z warzywami. Ale nic, co piszę, i tak nie przekaże Ci całego uroku tego miejsca. Krótko mówiąc, jest to dom o zachwycającej osobowości i czuje się w nim coś z aury Zielonych Szczytów.

| 19

– To moje miejsce. Jest mi po prostu przeznaczone! – wykrzyknęłam w euforii.

Pani Lynde nie wyglądała na osobę, która wierzy w przeznaczenie.

– Będziesz stąd miała daleko do szkoły – stwierdziła z powątpiewaniem.

– Nie szkodzi, ruch dobrze mi zrobi. Ach, proszę tylko spojrzeć na te śliczne brzozy i klony po drugiej stronie drogi!

Pani Lynde spojrzała, ale jej odpowiedź ograniczyła się do stwierdzenia:

– Mam nadzieję, że komary nie zjedzą cię tu żywcem.

Też miałam taką nadzieję. Nie cierpię komarów. Wystarczy jeden, żeby nie dał mi zasnąć bardziej niż nieczyste sumienie.

Ucieszyło mnie, że nie musiałam wchodzić przez frontowe drzwi. Wyglądały wręcz odpychająco – wielkie, dwuskrzydłowe, z litego drewna, po bokach miały szklane panele w czerwone kwiaty. W ogóle nie pasowały do tego domu. Znacznie bardziej zachęcające okazały się boczne, zielone, do których dotarliśmy uroczą ścieżką z kamiennych płyt zatopionych

w trawie. Wzdłuż ścieżki ciągnęły się wypielegnowane rabatki z ozdobną trawą o paskowanych źdźbłach, z serduszkami, liliami tygrysimi, „słodkim Williamem”^{*}, bylicą, smagliczką, biało-czerwonymi stokrotkami oraz piwoniami, które pani Lynde zwykła nazywać „piniami”. Oczywiście nie wszystkie teraz kwitły, ale widać było, że są zadbane i w stosownym czasie staną na wysokości zadania. W rogu na końcu zauważyłam kącik różany, a po ceglany murze odgradzającym Szumiące Wierzy od sąsiedniego ponurego domiszcza pnie się dzikie wino, które porasta też łukowaty treliaz wraz z wyblakłymi zielonymi drzewiczkami, najwyraźniej od dawna nieotwieranymi. Te drzewiczki mają tylko dolną część, znad której można zerknąć na zapuszczony ogród sąsiadów.

Zaraz za furtką Szumiących Wierzb dostrzegłam przy ścieżce kępkę koniczyny. Coś kazało mi się nad nią pochylić i – nie uwierzysz! Tuż pod moim nosem rosły aż trzy czterolistne koniczynki! Co za niezwykły omen! Czemuś takiemu nawet Pringleówie nie dadzą rady. W tym momencie poczułam, że urzędnik jest absolutnie bez szans.

Boczne drzwi okazały się otwarte, czyli najwyraźniej ktoś był w domu i nie musiałyśmy zaglądać pod doniczkę. Na nasze pukanie zjawiała się Rebecca Dew. Wiedziałyśmy, że to ona, bo na całym świecie można by ze świecą szukać podobnej osoby.

Rebecca Dew wygląda na mniej więcej czterdzieści lat. Gdyby pomidor miał czarne, szesane do tyłu włosy, małe błyszczące oczka, perkaty nosek i wąskie usta, byłby to jej wierny obraz. Wszystko w niej jest trochę za krótkie: ręce, nogi, szyja

* Miejskowa nazwa goździka brodatego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

i nos. Wszystko – z wyjątkiem uśmiechu, który rozciąga się od ucha do ucha. Ale na razie nie pozwoliła nam się o tym przekonać. Kiedy zapytałam, czy możemy się widzieć z panią MacComber, zrobiła bardzo surową minę.

– Ma pani na myśli panią KAPITANOWĄ MacComber? – spytała tak urażonym tonem, jakby w tym domu mieszkało co najmniej dziesięć pań o takim samym nazwisku.

– Tak – odpowiedziałam potulnie, a ona wprowadziła nas do salonu i pozostawiła samym sobie.

Jest to mały, lecz przyjemny pokój; może nieco za dużo w nim wszelkiego rodzaju pokrowców na meble, ale panuje tu spokojna, przyjazna atmosfera, co od razu mi się spodobało. Widać, że każdy mebel ma tu od lat swoje własne miejsce. A jak one wszystkie błyszczą! Żadna pasta ze sklepu nie daje takiego lustrzanego połysku. Wiedziałam, że to musi być robota Rebekki. Na półce nad kominkiem stoi zamknięty w butelce trójmasztowy żaglowiec, który szczególnie zainteresował panią Lynde. Nie mogła pojąć, jak udało się go tam wcisnąć, ale uznała, że dzięki niemu pokój ma „marynarski styl”.

Po chwili weszły wdowy i od razu poczułam do nich sympatię. Ciotka Kate jest wysoka, szczupła, siwowłosa i nieco surowa, wypisz wymaluj typ Marilli, a ciotka Chatty niska, drobna, też siwa i jakby zamysłona. Musiała kiedyś być bardzo ładna, ale z całej urody zostały jej tylko oczy – duże, brązowe, ciepłe i naprawdę śliczne.

Kiedy wyjaśniłam cel naszej wizyty, wdowy wymieniły spojrzenia.

– Musimy narodzić się z Rebeccą Dew – orzekła ciotka Chatty.

– Bez wątplenia – zgodziła się jej siostra.

Wezwano zatem z kuchni Rebecę Dew. Tuż za nią wślizgnął się kot – wielki, puszysty, niebieski z białym żabotem i kołnierzem. Chętnie bym go pogłaskała, ale pamiętając przestrogę pani Braddock, udałam, że go nie widzę.

Rebecca popatrzyła na mnie bez cienia uśmiechu.

– Posłuchaj, Rebecco – zwróciła się do niej ciotka Kate, która jak zauważyłam, nie marnowała słów – panna Shirley życzy sobie wynająć u nas pokój. Nie sądzę, żebyśmy mogły ją przyjąć.

22 | – Dlaczego nie? – spytała Rebecca Dew.

– Obawiam się, że miałabyś z tym za dużo fatygi – wyjaśniła ciotka Chatty.

– Przywykłam do fatygi – odparła Rebecca Dew.

Wiesz, Gilbertcie, nie sposób nazywać jej tylko imieniem. To po prostu niemożliwe, chociaż wdowy tak mówią. Nie wiem, jak im się to udaje.

– Jesteśmy za stare, żeby nam się kręcili po domu młodzi ludzie – upierała się ciotka Chatty.

– Mówcie za siebie! – odcięła się Rebecca Dew. – Ja mam raptem czterdzieści pięć lat i wiem, na co mnie stać. I właśnie uważam, że miło będzie mieć tutaj młodą osobę. W każdym razie dziewczyna lepsza od chłopaka. Taki palilby dzień i noc, jeszcze puściłby nas z dymem we własnych łózkach. Skoro już musicie brać lokatora, to weźcie ją: taka jest moja rada. Ale oczywiście to wasz dom.

„To rzekłszy, znikła”, jak powiada Homer*. Wiedziałam, że klamka zapadła, ale ciotka Chatty chciała, żebym koniecznie obejrzała najpierw swój pokój.

* Homer, *Iliada*, ks. 1, 432, tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski.

– Damy pani ten na wieży, moja droga. Nie jest tak duży jak gościnny, ale ma otwór, przez który w zimie dochodzi rurą ciepłe powietrze z pieca, no i ma znacznie ładniejszy widok, bo wychodzi na stary cmentarz.

Wiedziałam, że go pokocham. Od samej nazwy „pokój na wieży” przeszły mnie dreszcz. Poczułam się jak w tej starej piosence, którą śpiewaliśmy w Avonlea, o pannie, co „mieszkała na wieży wysokiej, nad brzegiem morza szarego”, a potem przekonałam się, że to najmiłsze miejsce na świecie. Weszliśmy tam po kilku spiralnych schodkach. Pokoik jest rzeczywiście nieduży, ale nie tak mały jak ten koszmarny „korytarzowy”, w którym mieszkałam na pierwszym roku studiów w Kingsport. Mansardowe okno wychodzi na zachód, a drugie, w ścianie szczytowej, na północ. W rogu wieży jest jeszcze trzecie, trójskrzydłowe, które otwiera się na zewnątrz. Pod nim znajdują się półki na książki. Na podłodze leżą okrągłe plecione dywaniki, wielkie łóże ma baldachim i patchworkową narzutę we wzór dzikie gęsi*. Jest zaścielone tak gładko, że aż żal się w nim kłaść, a tak wysokie, że wchodzi się do niego po śmiesznych schodkach, które na dzień wsuwa się pod spód. Zdaje się, że kapitan MacComber przywiózł ten mebel z jakiejś zagranicznej podróży.

Zauważyłam też śliczną narożną szafkę z półkami, wyłożonymi białym papierem w ząbki i z malowanymi bukietami na drzwiach. Pod oknem wbudowano siedzisko z niebieską okrągłą poduszką, przepikowaną pośrodku; ma tam głęboko wszyty guzik, przez co wygląda jak wielki pulchny pączek z dziurką w środku. I jeszcze uroczą umywalnia z dwiema półkami – na

* Rodzaj wzoru z ułożonych jeden za drugim trójkącików, przypominających klucz dzikich gęsi.

górną mieszczą się w sam raz miednica i błękitny jak jajeczko drozda dzbanek, na dolnej zaś mydelniczka i dzban na ciepłą wodę. Szuflada z mosiężnymi okuciami zawiera mnóstwo ręczników. Na ścianie, na półeczce siedzi porcelanowa dama w różowych pantofelkach i pozłacanej szarfie, a w złocistych porcelanowych włosach ma czerwoną porcelanową różę.

24 | *Cały pokój pławił się w złocistym blasku słońca, przefiltrowanego przez żółte zasłony. Na bielone ściany nakładała się najcudowniejsza tapeta z cieni wierzb za oknem – wiecznie żywa, ciągle poruszająca się i zmieniająca. Wszystko to razem dawało wrażenie naprawdę szczęśliwego miejsca. Poczulałam się najbogatszą dziewczyną na świecie.*

– Będziesz tam bezpieczna, ot co! – orzekła pani Lynde, kiedy już wyszliśmy.

– Czasem mogę się czuć trochę skrępowana w porównaniu ze swobodą życia w Ustroniu Patty – zauważyłam z czystej przekory.

– Swoboda, też coś! – fuknęła pani Lynde. – Co za jankeskie gadanie!

Przyjechałam dzisiaj z całym bagażem. Oczywiście nie cierpię opuszczać Zielonych Szczytów. Nieważne, jak długo i jak często przebywam z dala od tego domu, gdy tylko nadchodzi wakacje, staję się jego częścią i serce mi pęka przy każdym rozstaniu. Ale wiem, że to miejsce także polubię, i to z wzajemnością. Zawsze czuję, czy jakiś dom mnie lubi czy nie.

Widoki z okien są śliczne – nawet ten stary cmentarz, otoczony pierścieniem ciemnych jodeł. Idzie się tam krętą uliczką, wzdłuż której ciągną się rowy. Z zachodniego okna widać cały port, aż do dalekich, zamglonych brzegów. Kocham te wszystkie urocze żagłówki i statki wychodzące w morze „ku nieznanym

portom” – swoją drogą, cóż to za fascynująca fraza! Ileż w niej pola do wyobraźni! A z północnego mogą cieszyć wzrok brzoźowoklonowym zagajnikiem po drugiej stronie drogi. Wiesz, jaką jestem czcicielką drzew. Kiedy na kursie literatury angielskiej w Redmondzie przerabialiśmy Tennysona, zawsze współczułam biednej Ojnone*, która rozpaczała po ścięciu pięknych sosen.

Za laskiem i cmentarzem rozciąga się śliczna dolina z czerwoną wstążką krętej drogi i rozrzuconymi przy niej białymi domami. Niektóre doliny są po prostu rozkoszne, trudno powiedzieć dlaczego. Już sam ich widok sprawia przyjemność. A jeszcze dalej znów mam moje błękitne wzgórze. Nazywam je Królem Burz – wiesz, jak ja lubię nadawać wszystkiemu nazwy.

Jeśli zechcę, mogę tu być sama z sobą. Czasem naprawdę miło jest być samą. Zaprzyjaźnię się z wiatrami. Będą zawodzić, wzdychać i nucić wokół mojej wieży; białe wichry zimowe, zielone podmuchy wiosny, błękitne zefirki lata i te purpurowe, jesienne, słowem, dzikie wiatry wszystkich pór roku – „gwałtowny huragan, co pełni Jego słowo”**. Jakim dreszczem przeszywa mnie ten psalm! Zupełnie jakby w każdym wietrze kryło się dla mnie jakieś przesłanie. Zawsze zazdrościłam temu chłopcu, który odleciał wraz z północnym wiatrem w tej pięknej starej historii Georgéa MacDonalda***. Pewnej nocy,

* W mitologii greckiej; frygijska nimfa, córka boga rzeki Kebren, pierwsza żona Parysa; tytułowa bohaterka poematu Alfreda Tennysona.

** Psalm 148,8. Ten i następne biblijne cytaty za Biblią Tysiąclecia.

*** Chodzi o książkę pod tytułem *At the Back of the North Wind* [Za północnym wiatrem].

Gilbercie, otworzę okno na wieży, rzucę się prosto w ramiona tego wiatru i Rebecca Dew nigdy się nie dowie, dlaczego moje łóżko pozostało nietknięte.

Mam nadzieję, najdroższy, że kiedy już znajdziemy swój „wymarzony dom”, będą wokół niego także szumiały wiatry. Ciekawe, gdzie on jest, ten nieznany dom. Czy bardziej będę go kochać w świetle księżycy czy o pierwszym brzasku? Ten przyszły dom, w którym zamieszkają miłość, przyjaźń i praca, a także... kilka zabawnych przygód, żebyśmy na starość mieli z czego się śmiać. Starość! Czy my w ogóle kiedyś będziemy starzy? Wydaje się to zupełnie niemożliwe.

26 |

Z lewego okna wieży mam widok na dachy miasta, w którym spędzę co najmniej rok. W tych domach żyją ludzie – jeszcze mi nieznani – ale to oni zostaną moimi przyjaciółmi. A może wrogami. Bo Pyéowie są wszędzie, chociaż kryją się pod różnymi nazwiskami... na przykład Pringle. Przed Pringleami powinnam chyba mieć się na baczności. Szkoła zaczyna się jutro. Mam uczyć geometrii! Modłę się, żeby wśród Pringleów nie było żadnego matematycznego geniusza.

Jestem tu dopiero od pół dnia, ale czuję się, jakbym znała te okna i Rebecę Dew przez całe życie. Wdowy już poprosiły mnie, żebym nazywała je ciotkami, a ja poprosiłam, żeby mówiły mi po imieniu. Do Rebekki Dew jeden raz zwróciłam się „panno Dew”, na co usłyszałam:

– Jaka znów „panno”?

– No... Panno Dew – wyjąkałam. – Czy nie tak się pani nazywa?

– Owszem, ale od dawna nikt się tak do mnie nie zwracał, więc w pierwszej chwili aż się wzdrygnęłam. Proszę tak do mnie nie mówić, panno Shirley, nie przywykłam do tego.

– Będę pamiętać, Rebecca.. Dew. – Bardzo się starałam nie dodawać „Dew”, ale mi się nie udało.

Pani Braddock miała rację, mówiąc, że ciotka Chatty jest wrażliwa. Przekonałam się o tym podczas kolacji. Ciotka Kate wspomniała coś o „sześćdziesiątych szóstych urodzinach Chatty”. Akurat na nią zerknęłam i zobaczyłam, że... wprawdzie nie wybuchnęła płaczem, to zbyt dramatyczne określenie na jej reakcję, ale po prostu zalala się łzami, które wezbrały w jej wielkich brązowych oczach.

– O co ci chodzi, Chatty? – spytała dość cierpko ciotka Kate.

– Bo... bo to były dopiero sześćdziesiąte piąte... – wykrztusiła jej siostra.

– Bardzo cię przepraszam, Charlotte – powiedziała ciotka Kate i znowu zaświeciło słońce.

Kot jest przesliczny – wielki, o złotych oczach i eleganckim dymnym futrze z nieskazitelnym podszerstkiem. Dla ciotek to Dusty Miller, ponieważ tak właśnie się nazywa, ale Rebecca Dew mówi na niego tylko Ten Kot. Zdecydowanie go nie lubi i nie może przeboleć, że codziennie rano i wieczorem musi go karmić wątróbką, czyścić szczoteczką do zębów fotel z jego sierści, jeśli uda mu się wślizgnąć do salonu, i szukać go po nocach na dworze.

– Rebecca Dew w ogóle nie znosi kotów – wyjaśniła mi ciotka Chatty – a już Dusty’ego szczególnie. Dwa lata temu przyniósł go w pysku pies starej pani Campbell (trzymała wtedy psa). Pewnie uznał, że do niej nie ma sensu go zabierać. Takie to było biedne, zmarznięte i mokre kociątko, sama skóra i kości... Tylko ktoś o kamiennym sercu odmówiłby mu schronienia. No więc wzięłyśmy je z Kate, ale Rebecca Dew nigdy nam tego nie darowała. Wtedy jeszcze nie znałyśmy

się na dyplomacji. Powinnyśmy kociaka od razu wyrzucić, bo nie wiem, czy zauważyłaś... – tu ciotka Chatty obejrzała się trwożnie na drzwi do kuchni – ...jak teraz sobie z nią radzimy.

Rzeczywiście zauważyłam – to po prostu coś pięknego. Całe Summerside i Rebecca Dew mogą uważać, że to ona tu rządzi, ale wdowy są odmiennego zdania.

28 | – Nie chcieliśmy tego urzędnika. Młody człowiek, nieustabilizowany... Bałyśmy się, że może nie chodzić do kościoła. Ale udawałyśmy, że go weźmiemy, a Rebecca nawet nie chciała o tym słyszeć. Tak się cieszę, że trafiłyśmy na ciebie, moja droga. Na pewno warto będzie gotować dla tak miłej lokatorki. I mam nadzieję, że nas wszystkie polubisz. Rebecca Dew ma kilka ważnych zalet. Kiedy sprowadziła się tu piętnaście lat temu, wcale nie była taka porządnicka. Raz Kate musiała napisać jej imię palcem na lustrze, żeby zobaczyła, jakie jest zakurzone. Ale to się już nigdy nie powtórzyło. Rebecca Dew w lot łapie wszystkie aluzje. Mam też nadzieję, że podoba ci się pokój. Możesz zostawiać na noc otwarte okno. Kate nie przepada za nocnym powietrzem, ale rozumie potrzeby lokatorów. My mamy wspólną sypialnię, więc uzgodniłyśmy, że w jedną noc będziemy zamykać okno ze względu na nią, a w drugą otwierać ze względu na mnie. Zawsze można jakoś się dogadać w takich drobiazgach, prawda? Tam, gdzie jest dobra wola, znajdzie się też wyjście. I nie przestrasz się, że Rebecca tak dużo chodzi po nocach. Ona zawsze słyszy jakieś hałasy i koniecznie musi wysledzić, skąd pochodzą. Chyba to dlatego nie chciała tu urzędnika. Bała się, że wpadłaby kiedyś na niego w nocnej koszuli. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza małomówność Kate; ona taka już jest. A musi mieć wiele do opowiadania, przecież za młodu objechała z Amasą MacComberem cały świat! Też

chciałabym mieć tyle tematów do rozmowy, ale nigdy nie wystawiłam nosa za naszą wyspę. Często się zastanawiam, dlaczego życie tak nam się ułożyło: ja gaduła, która nie ma nic do powiedzenia, a Kate milcząca, za to z mnóstwem tematów. Ale pewnie Opatrzność wie najlepiej.

Chociaż z ciotki Chatty rzeczywiście jest straszna gaduła, czasem robi przerwy. Udaje mi się wtedy wtrącić jakąś uwagę, ale to raczej nic ważnego.

Wdowy trzymają krowę, która pasie się nieco dalej, u pana Jamesa Hamiltona, i Rebecca Dew chodzi ją doić. Jest z tego pewna ilość śmietanki, a każdego dnia, rano i wieczorem, Rebecca zanosí szklanę świeżego mleka do furtki w murze, gdzie podaje ją górą tak zwanej Kobicie od pani Campbell. To dla „małej Elizabeth”, na specjalnie zalecenie lekarza. Kim są owa Kobieta i mała Elizabeth, muszę dopiero odkryć, natomiast pani Campbell jest mieszkanką i właścicielką tej fortecy za murem, która nosi nazwę Chojary.

Raczej dzisiaj nie zasnę. Nigdy dobrze nie śpię pierwszej nocy w obcym łóżku, a to akurat jest najdziwniejsze, jakie w życiu widziałam. Ale się nie przejmuję, przecież uwielbiam noc; lubię tak leżeć i rozmyślać o życiu, o przeszłości, o teraźniejszości i o tym, co jeszcze mnie czeka. Zwłaszcza o tym ostatnim.

Gilbercie, ten list jest bezlitośnie długi. Nie chcę już więcej znęcać się nad Tobą taką epistołą. Ale musiałam Ci to wszystko opisać, żebyś miał obraz mojego tutejszego otoczenia. Teraz już kończę, gdyż księżyc nad przystanią „pogrąża się w krainie cieni”^{*}, a mnie jeszcze czeka list do Marilli. Dotrze

* Emily Pauline Johnson, *Moonset* [Zachód księżycy].

do Zielonych Szczytów pojutrze, Davy przyniesie go z poczty i razem z Dorą będą asystować przy otwieraniu. Pani Lynde też pilnie nadstawi uszu... Oooh, jaka nagle zdjęła mnie tęsknota... Dobranoc, Najdroższy. Tęgo życzy Ci najczulej ta, która jest i zawsze będzie

Twoją Anne.